



WIECZORY RODZINNE



J. F. KS. WINCENTY TEOFIL CHOŚCIAK POPIEL.

Arceybiskup Metropolita Warszawski.

Jubileusz Arcypasterza.

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. M o r a w s k a.

(Dalszy ciąg).

W dniu 5 b. m. upłynęło lat pięćdziesiąt, odkąd otrzymał święcenia kapłańskie obecny arcybiskup warszawski J. Eks. ks. Wincenty Chościak Popiel. Kżadka to i wzruszająca uroczystość, gdyż niewielu kapłanów wśród trudów i poświęceń swego powołania, doczekać się może półwiekowej rocznicy swej służby Bożej.

Dostojny nasz Arcypasterz urodził się 29 czerwca 1825 roku w majątku rodzinnym Czaple Wielkie w gub. Kieleckiej. Od roku 1841 do 1845 uczęszczał na kursa prawne w Warszawie i potem dopiero wstąpił do seminaryum kieleckiego.

Po ukończeniu jeszcze wyższych studyów teologicznych w Belgii i Rzymie, młody kapłan powrócił do kraju, aby się poświęcić z całą gorliwością działalności kapłańskiej i profesorskiej.

W roku 1864 został biskupem Płockim, w r. 1875 biskupem diecezji kujawsko-kaliskiej, wreszcie d. 15 marca 1883 r. arcybiskupem warszawskim.

Wśród swych licznych zajęć i obowiązków, czcigodny jubilat zwracał zawsze troskliwą uwagę na wychowanie religijne dziatwy i młodzieży i napisał piękne dzieło „Żywot Chrystusa Pana.”

W dniu jubileuszu odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele archikatedralnym Św. Jana.

Każdy, kto był w Warszawie, zna niewątpliwie ten najpiękniejszy z jej kościołów, który zarazem od r. 1817 jest kościołem metropolitalnym, co znaczy, że przy nim rezyduje ksiądz Arcybiskup Warszawski.

Z wąskiej ulicy Św. Jańskiej, przy której wznosi się ta starodawna świątynia, trudno jest dobrze objąć wzrokiem wspaniałą fasadę w stylu gotycko angielskim, przebudowaną i odnowioną w latach 1836 — 1840. Za to wnętrze kościoła, niższe o parę stopni od przedsionka, przedstawiają się wchodzącemu nader okazale i poważnie z dwoma szeregami wysmukłych kolumn i ciemnym presbiteryum w głębi, zdobnem w rzeźbione z drzewa stalle i trybuny.

Kościół św. Jana istnieje od połowy XIV wieku; w nim odprawiały się zwykle najwspanialsze nabożeństwa w święta i uroczystości. Tu przy współdziałaniu arcybiskupa odbywają się wszystkie obrzędy Wielkiego Tygodnia i stąd w dzień Bożego Ciała wychodzi pierwsza procesya, której towarzyszą tysiące wiernych.

Wnętrze kościoła zawiera wiele rzeźb i obrazów, cennych pod względem artystycznym i historycznym. Na szczególną uwagę zasługuje Wielki Ołtarz z obrazem słynnego malarza weneckiego, Jakóba Palmy i kaplica z cudowną figurą Pana Jezusa, rzeźbioną w drzewie, a umieszczoną tu w r. 1539. Nadto odznaczają się pięknnością wykonania marmurowe nagrobki ostatnich książąt Mazowieckich, Stanisława (zm. 1524 r.), Janusza (zm. 1526 r.), oraz Stanisława Małachowskiego (zm. 1809 r.)

— Przypomniał mu się ksiądz proboszcz z Niewdźydowej Woli, dziecięce lata i z całą ufnością biegł do uczonego jezuitę.

Doznał jednak zawodu; ksiądz Bogatko zamknięty w sobie, nie umiał zniżyć się i przemówić do tej prostaczej duszy. Nie lubił też długo gawędzić, dał mu wprawdzie książkę, nauczył wymawiania niektórych łacińskich wyrazów, zachęcał do czytania i na tem się skończyło.

— Przedstawię najjaśniejszemu panu przy zdarzonej okazji, może ci pozwoli uczęszczać do szkół jezuickich, byłoby to dla ciebie z wielką korzyścią... wielka łaska spłynełaby na ciebie, mógłbyś nawet w przyszłości zostać księdzem!

Obietnica ta niebardzo przypadła do serca Niewdźydowi.

Był on pobożny, modlił się, bo wierzył w opiekę Bożą, lecz do stanu duchownego nie czuł najmniejszego powołania.

Jemu pachniał koń, szabla, uśmiechała się walka wśród pól rozległych.

Mógł jednak być spokojny; ksiądz Bogatko obiecał i obietnicy swojej dopełnił. Byłby prosił króla za młodzieńcem, który mu się spodobał, lecz upływały miesiące, upłynął rok przeszło, a sposobność rozmawiania z królem nie nadarzyła się uczonemu kapelanowi.

Dawał jednak książki przychodzącemu doń od czasu do czasu Jaškowi, objaśniał trudniejsze ustępy z Alwara, dawał mu nawet do czytania „Żywot pocziwego człowieka” Reja, „Psalmy” Kochanowskiego, i na tem skończyła się cała zażyłość uczonego kapelana z młodym szlachcicem. Nie dziw więc, że Niewdźyd wśród całego dworu czuł się samotnym. Stawał się też wbrew swej otwartej naturze, coraz więcej zamkniętym w sobie, niemniej jednak umysł jego dojrzewał. Lata, które przebywał na dworze nie upłynęły dlań bez korzyści, wywarły nań pewną cechę cywilizacyjną, dały mu oświatę i ogładę, nie pozostawiając jednak cechy dworactwa, połączonego zawsze z pewną uniżonością.

Był samoukiem w całym znaczeniu tego wyrazu, lecz z ową nauką, którą własną pracą zdobywał, urabiał się w nim charakter. Podkładem do tego była głęboka wiara i miłość bliźniego, którą zaszczepiła w nim matka i pocziwy proboszcz z Niewdźydowej Woli.

Obok tego ukazywały mu się jak we mgle czyny bohaterów, o których nasłuchiwał się z ust proboszcza i matki. Matka bowiem, jakkolwiek nękana wielką biedą i pracą, pamiętała zasłyszane w dziecięctwie opowieści o odległej przeszłości i te jako rodzinną i rodową pamiątkę, przekazywała wraz z dokumentami synowi.

Tradycja ta wywarła pewne odrębne piętno rycerskości na szukającym przygód, pragnącym walki młodzieńcu.

Przez czas pobytu na dworze rozrósł się nietylko umysłowo i duchowo, lecz w ogóle cała jego powierzchowność nabrała zupełnie innego wyglądu. Z owego przysadkowego, niezgrabnego chłopaka, wyrastał na smagłego i wysokiego młodziana, który powierzchownością swoją zwracał uwagę przechodzących.

Pan marszałek Dziegielewski zapraszał go chętnie do siebie w zapusty i na dworze poczęto szeptać:

— Ho, ho, nasz stary, szykuje sobie Jaśka na zięcia!

P. Dziegielewski bowiem mając kilka dorodnych córek, dla każdej, jak mówiono, miał odłożone tynfy na dnię wielkiego kufra, niejeden więc z młodzieńców dworzan miał ochotę wkraść się w łaski marszałka a następnie i do jego domu być zaproszonym.

Zaszczyt ten jednak nie byle kogo spotykał; wytrawny dworzanin ze względu na swoje stanowisko, niełatwo bratał się ze swoimi podwładnymi. Umiał do góry głowę nosić, zdala od siebie i wszelkiej poufałości młodzież dworską utrzymać. Nie byle też kto dostępował zaszczytu i był przez niego zaproszony.

Wejście więc Jaśka do domu marszałka było solą w oku i powodem zazdrości jego towarzyszy.

Ale Boże odpuść, mieli mu też czego zazdrościć!

Obowiązki jego na dworze polegały na tem, iż miał być na każde zawołanie króla jegomości. Jakkolwiek nie był wołany, musiał jednak siedzieć kamieniem w przybożnej komnacie. Ruszyć się z niej mógł tylko wtedy, gdy monarcha spoczywał, lub z zamku wyjechał; a to ostatnie nie codzień się zdarzało.

Wszystkiego więc był zaledwie dwa, czy trzy razy w domu marszałka. Zdarzyło się jednak pod koniec drugiego roku, że pani marszałkowa z córkami wybierała się podczas Zielonych Świątek na odpust do Bielán. Że zaś król jegomość w wigilię dnia jeszcze do ulubionych przez siebie Bielán pospieszył i w klasztorze OO. Kamedułów miał całe trzy dni na dewocyi pozostać, Niewdźyd nie potrzebował czekać jego rozkazów, więc pan marszałek rzekł:

— Jasię, będziesz jutro mojej jejmości towarzyszył w podróży! Podróż ci to niewielka, lecz Bóg wie, co się przygodzić może. Niewieście samej z dziewczkami puszczać się nie wypada — dodał jakby do siebie.

Niewdźyd pokraśniał jak panna, skłonił się do kolan swemu dobrodziejowi i na drugi dzień, zaraz po wschodzie słońka na dzielnym podjezdku, obok kolebki pani marszałkowej, pocałował.

Dzień był prześliczny, lasek OO. Kamedułów roił się przybyłymi na odpust, którzy czas wolny od nabożeństwa spędzali na ohochoj zabawie. Maj, zieloność, woń świeżawiosenna, rozkołysała umysł i ducha młodzieńca.

Popisywał się ze swoją zręcznością strzelania z łuku do celu, rzucania toporkiem do upatrzonej wysoko gałęzi i zabijania strzałą ptaka w locie. Zwrócono na niego uwagę i podawano z ust do ust jego nazwisko.

Usługiwał też pani marszałkowej i jej córkom skrzętnie i wesoło. Kiedy zaś trzeba było postarać się o jakieś takie siedzenie, co w obec napływu gości dość trudnem się stawało, Niewdźyd uchwyciwszy grubą kłodę, leżącą na mokrem miejscu, przeniósł ją na suche wzgórze. Julisia, starsza panna marszałkówna, rzekła z uśmiechem pełnym podziwu:

— Ależ z waćpana siłacz nielada.

A Wiktorka młodsza jej siostra dodała:

— Zmożesz się waćpan do cna!

— Hej, nie takie ja trudy dla inicy panny marszałkówny radbym ponosić bodaj przez całe życie — zawołał uradowany wycieczką młodzieniec.

Panienka zarumieniła się po same białka, marszałkówna zaś rzekła:

— Grzeczny z waści kawaler, niema co mówić, siadźże teraz a podjedz sobie z nami.

I skinęła na córki, żeby przywiezionemi zapasami poczęstowały towarzysza.

Bawiono się przytem dalej wesoło, a oczy przybyłych jak marszałkówna na odpust, spoglądały na nich ciekawie.

— Kto to zacz? — pytano, pokazując sobie młodzieńca.

— Dworzanin królewski! — szepnął ktoś z boku.

Tego tylko było potrzeba; doniosło się do zamku i zaraz na drugi dzień po przybyciu, wszyscy jego towarzysze wprost zaraz do Janka:

— I cóż, nie mówiliśmy!

— Bo co? — zapytał młodzieniec.

— Nie udawaj!

— Boga mi, nie wiem o co wam chodzi! — mówił Niewdźyd.

— Stary najwidoczniej szykuje cię sobie na zięcia! — rzucił któryś z zazdroszczących mu wczorajszej przejażdżki dworzan.

— Ba, miałby dopiero kłopot, chyba by nas oboje z córką tutaj na posterunku w komnacie osadził! — odciął się Janek.

— Dla czego?

— Boć ja tu przecie już drugi rok siedzę i oczekuję na wołanie króla jegomości — rozśmiał się Niewdźyd.

— Eh, eh, i cóż ci za krzywda! — zawołał chórem.

— Krzywda mnie i wam bracia, bośmy młodzi, a pracy nie mamy! — zawołał chłopiec gorąco. — Jakem wczoraj wypadł za miasto, a posłyszał szum lasu, jakem ujrział tyle ludzi ciągnących na odpust, to mi serce zakołatało radośniej. To też jakem uchwycił łuk, duch we mnie zaraz wstąpił, uczułem, że żyję! — mówił Jasię z młodzieńczym zapałem. — Lecz po chwili gdym sobie przypomniał, że jeno na godziny wypuszczony z tej oto komnaty, serce mi się smutkiem i obrzydzeniem na siebie ścisnęło — mówił smutnie do patrzących nań z niedowierzaniem towarzyszy.

(d. c. n.)



Cawel Trzciniński.

POGADANKI Z ASTRONOMII.

(Dalszy ciąg).

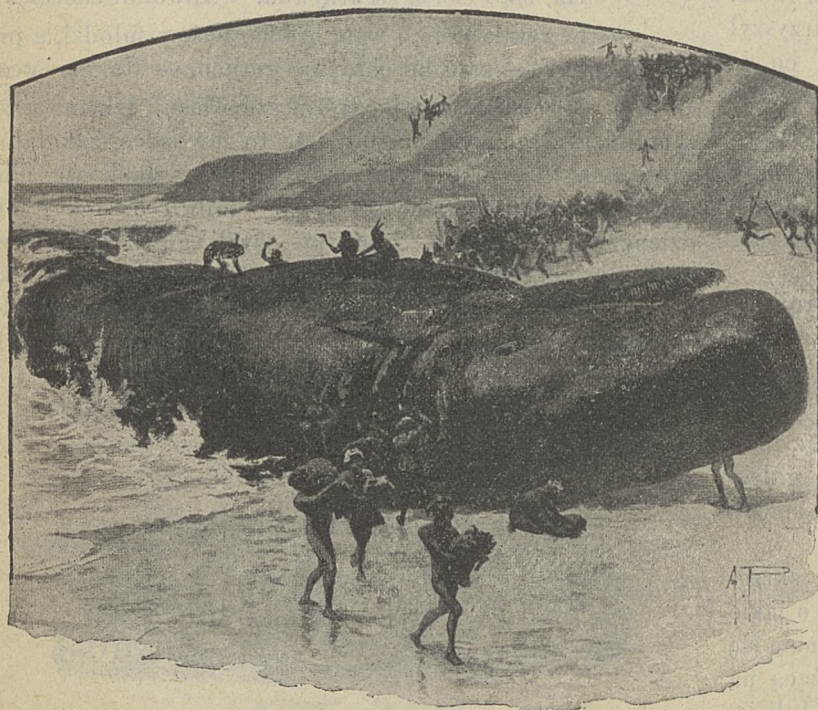
Wiemy nadto, że na przestrzeni pomiędzy Marsem a Jowiszem istnieje około 400 nadzwyczaj drobnych planet (średnica niektórych dosięga zaledwie kilkunastu kilometrów) zwanych *asteroidami*, albo *planetoidami*. Są to wszystko gwiazdki niezmiernie małe, teleskopiczne, i zaledwie dwie - trzy, jak *Ceres* i *Westa* dają się przy pewnych warunkach dostrzegać gołym okiem.

Takim jest w ogólnych zarysach układ słoneczny według teorii Kopernika.

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej podwójnemu ruchowi ziemi i zbadajmy następstwa jakie ruch ten powoduje.

Powiedzieliśmy już, że ziemia (jak i wszystkie zresztą planety) wykonywa jednocześnie *dwa zupełnie niezależne od siebie* ruchy: jeden *wirowy* dokoła własnej osi w kierunku od zachodu ku wschodowi i drugi w tymże kierunku ruch *postępowy* dokoła słońca. Ruch pierwszy zwiemy ruchem *dziennym*, albowiem od niego zależą zmiany dnia i nocy, a także wschód i zachód słońca, księżyca i gwiazd, drugi zaś — ruchem *rocznym*, ponieważ od niego zależą zmiany pór roku. Ażeby zrozumieć dokładnie ten ruch podwójny, wyobraźmy sobie ruch bąka, albo też wrzeciona, które, wirując około własnej osi, zatacza jednocześnie drogę dokoła pewnego punktu stałego. Zupełnie takim jest ruch ziemi w przestrzeni: wiruje ona dokoła własnej osi, a zarazem mknie

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.



Wiertowanie wieloryba przez dzikich.

w ruchu postępowym dokoła słońca, zakreślając drogę, którą zwiemy *orbitą*.

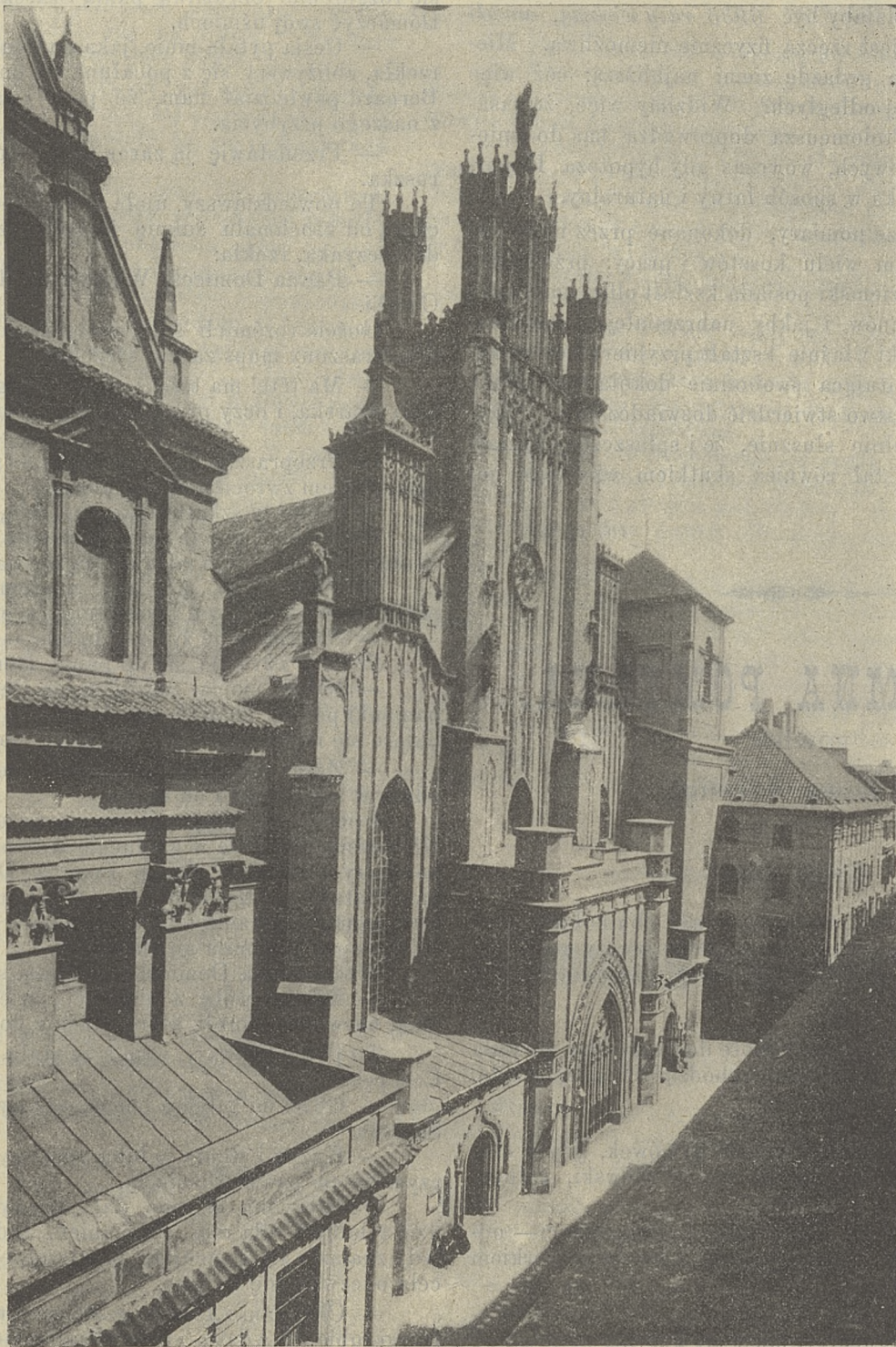
Jeżeliśmy zrozumieli zupełnie dokładnie to, co powiedziano wyżej o zjawiskach tak zwanego ruchu stosunkowego, to zrozumiemy też nadzwyczaj łatwo wszystkie te następstwa, jakie wywołać musi podwójny ruch ziemi. Wirującą ziemię można w danym razie porównać do olbrzymiej karuzeli, słońce zaś do owej odległej latarni, którąśmy obserwowali w naszym przykładzie. Otóż jak wówczas siedząc na karuzeli, nie dostrzegaliśmy wcale jej ruchu, a przeciwnie zdawało się nam, że to latarnia zatacza wielki krąg dokoła, to zjawiając się przed naszymi oczyma, to znów znikając i pograżając nas w ciemności, tak też i w danym wypadku obserwatorowi, który znajduje się na powierzchni ziemi, wyda się również, że powierzchnia ta jest nieruchomą. Słońce zaś, księżyc i gwiazdy krążą dokoła niej, — wschodzą, wznoszą się do najwyższego punktu firmamentu i wreszcie zachodzą.

Pozorny ten ruch sfery niebieskiej, dokonywa się, rzecz oczywista, w kierunku odwrotnym do istotnego ruchu ziemi, a więc od wschodu ku zachodowi. Widzimy tedy najprzód słońce na wschodzie, na samym skraju horyzontu. Następnie kiedy po upływie 6-ciu mniej więcej godzin, ziemia wykona czwartą część obrotu w kierunku wschodnim, to nam, którzy tego ruchu nie dostrzegamy, wyda się, że to słońce zakreśliło na niebie ćwierć łuku, ale w kierunku odwrotnym, to jest od wschodu ku zachodowi, a przeto ujrzymy je teraz już nie na skraju horyzontu, ale w połowie dziennej drogi, na stanowisku najwyższym. Chwilę tą nazywamy *południem*. Po upływie następnych sześciu godzin, ziemia wykona jeszcze czwartą część obrotu, zwracając się wciąż ku wschodowi, a więc nam się wyda, że słońce posunęło się w odpowiedni sposób ku zachodowi i ujrzymy je teraz znowu na skraju horyzontu, ale tym razem już na stronie zachodniej nieba. Mówimy wówczas, że słońce zachodzi. Od tej chwili odbywa ono pozostałą część drogi pod naszym horyzontem, nastaje noc, a wraz z nią na niebie zjawiają się gwiazdy, w dzień niewidzialne i te również skutkiem tychże powodów, zakreślają na firmamencie pewne mniejsze lub większe łuki — wschodzą, wznoszą się do punktu kulminacyjnego i wreszcie zachodzą.

Otóż w taki to łatwy i zrozumiały sposób, genialna teoria Kopernika tłumaczy nam znaczenie i powody dziennego obrotu niebieskiej sfery. Przypisać jednakże należy, że i teoria Ptolomeusza, który przypuszczał, iż ziemia pozostaje nieruchomą, a słońce i gwiazdy w ciągu 24 godzin zataczają dokoła niej swe dzienne drogi, tłumaczy również dobrze wszystkie dostrzegane zjawiska. Gdzież są tedy faktyczne, namacalne, że się tak wyrażymy, dowody wirowego ruchu ziemi?

Współczesna nauka posiada dziś cały szereg takich dowodów. Przytoczymy tu najważniejsze.

Przedewszystkiem więc wiemy już obecnie, że odległości gwiazd stałych od ziemi są



4 Kościół św. Jana w Warszawie.

istotnie tak niezmierne, że na przebieżenie ich promień światła potrzebuje kilku, kilkunastu, a częstokroć kilkuset nawet lat *). Tak na przykład, odległość najbliższej ku nam gwiazdy stałej, zwanej *X. Centauri*, jest taką, że

na przebycie jej światło potrzebuje *lat trzech*. Otóż gdyby *X. Centauri*, jak tego wymaga nauka Ptolomeusza, zakreślała istotnie w ciągu 24-ch godzin drogę dokoła ziemi na takiej odeń odległości, w takim razie droga ta byłaby 6,28 razy większą, aniżeli sama odległość, ponieważ z geometrii wiemy, że okrąg koła bywa 6,28 razy większym, aniżeli jego promień. A zatem na przebieżenie

*) Wiadomo, że promień światła przebiega w próżni około 300,000 kilometrów na sekundę.

takiej drogi światło potrzebowałoby prawie 19 lat!... Stąd już łatwo obliczyć, że gdyby X. Centauri dokonywała tej olbrzymiej drogi w ciągu jednej doby, to szybkość takiego szalonego ruchu musiałaby być 6935 razy większą, aniżeli szybkość światła, co jest rzeczą fizycznie niemożliwą. Mieśliśmy tu na względzie gwiazdę ziemi najbliższą; cóż więc powiedzieć o bardziej odległych? Widzimy więc, że zasadnicze twierdzenie Ptolomeusza doprowadza nas do wniosków wprost niemożliwych, wówczas gdy hipoteza Kopernika tłumaczy zjawiska w sposób łatwy i naturalny.

Najdokładniejsze pomiary, dokonane przez nowoczesne rządy z nakładem wielu kosztów i pracy, przekonały ostatecznie, że glob ziemski posiada kształt olbrzymiej kuli, spłaszczonej u biegunów i jakby nabrzmiałej u równika. Otóż wiadomo, że taki właśnie kształt przybiera bezwarunkowo każda ciecz, wirująca swobodnie dokoła osi. Fakt ten daje się bardzo łatwo stwierdzić doświadczalnie. Przypuszczamy więc zupełnie słusznie, że i spłaszczony kształt kuli ziemskiej, powstał również skutkiem wirowego jej ruchu dokoła osi.

(d. c. n.)

WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Skrzypnięcie drzwi zwróciło uwagę obu kobiet: pani Szarska podniosła zmęczony wzrok; zobaczywszy gości, położyła książkę na stoliku i wyciągnawszy rękę z fotelu, słabym głosem rzekła:

— A vous voilà, enfin!

Panna Domicela rzuciła robotę do koszyczka, zerwała się żywo z kanapki i naprzeciw wchodzących pospieszyła, powtarzając głośno i serdecznie:

— Przecież, przecież!

— Sąsiadowi nie należy czynić wymówek, gdy w czasie żniw wizyt nie oddaje — rzekł pan Wątownski, całując panie w rękę.

— Mogłeś, kuzynie choć Cesię nam przysłać — odparła panna Domicela — byłaby sobie z Renią spacerkiem do nas przyjechała.

— Chciałem ją sam przedstawić, jako pannę dorosłą — rzekł pan Wątownski — jakże się kuzynie podoba?

Staruszka zwróciła się do Cesi, która przystąpiła do niej nieśmiało.

— Hoża dziewczeczka i podobno dobra — rzekła, całując sierotę w czoło — dużo mi ludzie o tobie naopowiadali — dodała.

Poczem ujęła dziewczynkę za rękę i poprowadziła do pani Szarskiej.

— Przypatrz się jej Klimuniu — rzekła — to wykaż panu Dosia, żywy portret matki.

Pani Szarska podała naprzód Cesi rękę do ucałowania, potem westchnęła, otarła batystową chusteczką oczy, na których łez nie było i podniósłszy zgasłe spojrzenie na Cesię, odparła:

— W istocie, bardzo podobna — gdyby nieboszczyk mój mąż, a twój dziadek zobaczył cię, dziewczeczko, z pewno-

ścią rozplakałby się, on tak kochał twoją matkę — dodała przesadzonym tonem.

Nienaturalny ton i słowa, rozśmieszyły Renię; lękając się rozgniewać obraźliwą panią Szarską, postarała się wytłumaczyć swój uśmiech.

— Cesią pytała innie, jaka panienka mieszka tutaj? — rzekła, zbliżywszy się z pocałunkiem do panny Domiceli — Bernard powiedział nam, że pani i panienka ucieszą się z naszego przybycia.

— Przedstawię ją zaraz Cesi — odparła wesoło staruszka.

To powiedziawszy, ujęła w obie ręce palcami, szeleszczącą od krochmalu suknię i dygnawszy komicznie przed dziewczynką, rzekła:

— Panna Domicela Wątownska, do usług inci panny Cecylii.

Goście rozśmiali się głośno, Bernard im zawtórował, przestraszony mops zaczął szczeleć.

— Ma tête! ma tête! — jęklwym głosem odezwała się pani Szarska, i oczy przymknawszy, głowę o poduszkę fotelu oparła.

— Przepraszam cię, Klimuniu — rzekła panna Domicela, poczem zwróciła się do mopsa:

— Cicho ty szkaradniku — rzekła, grożąc mu palcem.

Pies ucichł, goście zasiedli dokoła pani Szarskiej, pan Wątownski począł ją o zdrowie dopytywać.

— Vous voyez, mon ami, niedomagam ciągle — odparła tonem bolejącym i westchnęła ciężko.

— Smutne moje życie — dodała — szczęśliwa Domcia.

Poczem zwróciła się do panny Domiceli.

— Niech ciocia zadzwoni na Bernarda — rzekła — panienki pewno chętnie coś słodkiego przekaszą, a kuzyn likieru się napije, trzeba by też posłać po Adasia.

— Zaraz wszystko będzie wedle rozkazu jaśnie pani — odezwał się Bernard od drzwi.

I podreptał najprzód na pierwsze piętro do panicza. Niebawem zjawił się w gabinecie Adam, a potem herbata, konfitury i ciastka. Adam i panna Domicela częstowali, pan Wątownski z Renią opowiadali naprzemian o przybyciu Cesi, pani Szarska słuchała uprzejmie, a jednocześnie pieściła mopsa i karmiła go ciastkami.

Wtem panna Domicela odezwała się:

— Młodzi wołają z pewnością świeże owoce, chodź ze mną, narwiemy moreli, które właśnie dojrzewają.

To powiedziawszy, wzięła ze stołu koszyczek i podała Cesi rękę.

— Gości mi zabiera ciocia — z wynówką rzekła pani Szarska.

— Kuzyn i Renia z tobą zostaną — odparła stanowczym tonem panna Domicela.

Dziewczynka chętnie dała się wyprowadzić, w ogrodzie tyle było dla niej wspomnień, rada była go powitać. Gdy znalazły się w cienistej kasztanowej alei, panna Domicela odezwała się do niej:

— Chciałam z tobą pogadać sam na sam; dużo słyszałam o tobie od Adasia i Julki Rudnickiej, żal mi ciebie.

Minęły właśnie aleje kasztanowej i weszły do części ogrodu, zwanej owocarnią; pełno było tutaj drzew owocowych. Panna Domicela przystąpiła do jednego z niższych, którego rozpięte gałęzie, uginały się pod ciężarem złocistych moreli i poczęła je zrywać.

— Nie chcesz ze mną otwarcie pomówić, to źle, bo jam ci życzliwa — rzekła po chwili.

— Nie wiem, co babcia ma na myśli — odparła nieśmiało Cesi.

— Siadajmy — rzekła staruszka — pogawędzimy teraz sobie, ja zacznę rozmowę.

To powiedziawszy, powciągnęła sierotę na pobliską kanapkę darniową i koszyczek z owocami u nóg swoich postawiła.

— Wiem, że cię lekceważą, że cię kłóją boleśnie za twoje obce nazwisko — poczęła, patrząc uważnie w oczy

dziewczynki. — Nie potwierdzasz moich słów, lecz rumieńce cię zdradziły; widzę, iż prawdę mi mówiono... A wiesz dlaczego tak jest?... Oto dlatego, że jesteś na łasce.. Wywalcz sobie własną pracą położenie niezależne, stań się się pożyteczną, a wszystko zmieni się na dobre... Na łasce żyć młodej, to smutne, to upokarzające nawet.

Cesia spuściła główkę; pierwszy raz tak okrutne słowa usłyszała, nawet panna Ludwika nie powiedziała jej nigdy nic podobnie bolesnego. Zrobiło jej się przykro, miała żal do panny Domiceli.

Staruszka umilkła na chwilę, lecz nie przestawała wpatrywać się w nią uważnie, poczem znowu głos zabrała.

— No trudno, dla zdrowia potrzeba zażyć czasami gorzkie lekarstwo — poczęła wolno i łagodnie — widzę, iż zabolaly cię moje słowa, a jednak musiałam je powiedzieć. Pomyśl tylko, kto lepszy? czy ten: co widząc, iż bliźniemu żab dokucza, choć go to kosztuje, żab mu wyrwa? czy ten, który biernie cierpienie ludzkie obserwuje?... Dowiedziałam się, że ci jest źle w życiu, poszukałam w głowie przyczyny i powiedziałam sobie: pomogę jej, żeby łaski bogatych krewnych nie potrzebowała... Jedź do Warszawy, naucz się ogrodnictwa, potem wróć do Wątownki, ja ci pomogę pogadać z wujem, może odda ci w opiekę ogród; postarasz się, aby twoja praca pomnożyła jego dochody lub przynajmniej upiększyła Wątownkę; staniesz się pożyteczną swemu dobroczyńcy, wtedy będziesz miała zupełne prawo mieszkać pod jego dachem i zasiadać do jego stołu. Poznałaś na wycieczce w lesie Julkę Rudnicką: pracowita z niej dziewczyna, wielką jest ojcowi pomocą. Naucz się także ogrodnictwa, a staniesz się pomocnicą wują i zdołasz sobie wewnątrznie zadowolenie, które jest tem, co ludzie szczęściem nazywają.

Cesia słuchała w milczeniu, lecz uważnie, żal topniał w jej sercu, budziła się w niem natomiast wdzięczność do staruszki, w czarnych jej oczach zapaliły się piękne błyski, świadczące, iż serce dziewczynki zdolne jest wybuchnąć silnym płomieniem, że to wcale nie lalka, nie mazgaj, jak ją w chwilach złego humoru nazywała Ludwika.

— Cóż, nic nie odpowiadasz — odezwała się naraz panna Domicela, gdyż Cesia słuchała, marzyła, lecz nie odważała się jeszcze przemówić.

— Nie wiem, jak wziąć się do tego — rzekła nieśmiało dziewczynka.

— Powiedz mi: „chcę własną pracą wywalczyć sobie pewne stanowisko, chcę własnym trudem stworzyć sobie własne ognisko, chcę być niezależną i pożyteczną drugim,” a pomogę ci — odparła energicznym tonem panna Domicela.

— Chcę! chcę! chcę! — zawołała z siłą Cesia.

I pochwyciła kościstą rękę staruszki, lęk i smutek uciekły z jej oczu, wyrażały one w tej chwili wolę niezłomną i gorącą wiarę w przyszłość.

— Dopomóż mi, babciu, abym szczęśliwszą była, niż jestem — rzekła, całując pannę Domicelę — będę ci wdzięczną niewypowiedzianie, mam ochotę do pracy i czynu, czuję zapas sił takich w tej chwili w sobie, iż zdaje mi się, że jak ów Atlas świątym dźwignęła na moich ramionach.

Panna Domicela za całą odpowiedź pochyliła się do niej z pieszczotą.

— A to pięknie, opuścić nas na tak długo — odezwał się naraz głos Reni.

I przed siedzącymi ukazała się Renia z Adasiem,

— Ładna z niej dziewczeczka, ale dotychczas tylko ładna — rzekła panna Domicela, wskazując wzrokiem Renię.

Poczem dodała: — gdy z ciebie zrobię kobietę czynu, wpłyniesz potem na nią; w sercu tej pieszczochy drzemią podobno znaczne uczucia.

— Kiedy babcia z wujem pomówi? — zapytała Cesia.

— Może jutro do was przyjadę, może pojutrze — odparła panna Domicela — będę chciała jak najprędzej, bo zgaduję, że myśl rzucona przezemnie palić cię będzie w sercu.

— A morele gdzie? — zapytała Renia wesoło, przystąpiwszy właśnie do nich.

Panna Domicela sięgnęła do koszyczka i dobytej najdojrzałszy owoc.

— Masz, dzieciaku — rzekła do dziewczynki.

— Panno Cecyljo, proszę mnie poczęstować, gdyż babcia z pewnością dla mnie pożałuje swej pracy — żartobliwym tonem odezwał się Adam.

— Panno Cecyljo — powtórzyła gniewnym tonem staruszka — czyż to nie twoja krewna... Pamiętaj, że to sierota, więc każdy z nas ma względem niej obowiązki; nie grzecznych słówek ona od ciebie się spodziewa, ale bratniego serca; wujem jej jesteś.

— Słyszała Cesia, co powiedziała babcia? — rzekł z uśmiechem Adam.

— Słyszałam i liczyć będę od dziś na przyjaźń twoją — odparła Cesia poważnie.

Milcząca i zamysłona wracała w godzinę potem z Lisic do domu; ziarno rzucone w jej duszę ręką panny Domiceli, poczynało już kiełkować.

Dotychczas nie zastanowiła się nigdy nad tem, że jest na łasce wuj; babcia Domicela otworzyła jej dopiero oczy; teraz cierpiała nad swoim położeniem i chciała je zmienić jak najprędzej, lecz panna Domicela nie pojawiała się w Wątownce.

We dwa dni po ich bytności w Lisicach, przyjechał do nich Adam i powiedział, że panna Domicela zwichnęła nogę i kazała Cesi powiedzieć, że jak tylko lepiej będzie, zjawi się w Wątownce. Tymczasem minął jeden miesiąc, mijał i drugi a nie przyjeżdżała. Sierpień uchodził, Adam wrócił do Warszawy, a babka nie odwiedziła Cesi. Dziewczynka miała ochotę sama pojechać do Lisic, lecz ile razy wspomniała o tej wycieczce Reni, ta zawsze tłómaczyła się, iż pojechać nie może, a wuję prosić o konie nie śmiała.

(d. c. n.)

PRZYSŁOWIE W OBRAZKACH.

E. L.

OBRAZEK 1-szy.

Zygmus i Władzio (15-to i 13-to letni, siedzą przy stoliku zajęci pisaniem. Przez drzwi, prowadzące do drugiego pokoju, ubiega Jadzia śpiewając).

Dobry wieczór bracia! proszę się nie gniewać,
Ze wam tu przychodzę krakowiaka śpiewać.
Krakowiaka śpiewać, to wielka uciecha,
Komu, jak mnie dzisiaj, radość się uśmiecha.

Zygmus. Cóż to znowu za głośna wesołość? Spodziewałem się wprawdzie, że przyjdiesz przed herbatą do naszego pokoju na powtórzenie arytmetyki, która według ciebie taka trudna. Wczoraj jeszcze byłaś zawstydzoną, żeś jej nie rozumiała, a dziś już wyśpiewujesz i skaczesz jak dziecko.

Jadzia (kłaniając się z powagą). Przepraszam najpokorniej, ale już wcale nie jestem dzieckiem i na dowód tego przychodzę wam oznajmić, że dostałam zaproszenie na bal kostiumowy.

Władzio (ze śmiechem). Aha! słyszałem coś już o tem. Pewnie to na ów sławny balik dla dzieci, do twojej koleżanki Natalci B. Ale że też ojciec zgodził się na to, tak się wczoraj zmartwił twojem niedbalstwem i złemi stopniami.

Jadzia. Drogi tatuś nie jest tak jak ty niedowierzający i kiedy mu przyrzekłam poprawą, nie sprzeciwiał się wcale. Prawda, Zygmusiu, że ty mi nie odmówisz swojej pomocy?

Zygmus. I owszem, choćby natychmiast. Przynieś tylko zeszyt i książkę!

Jadzia. Ale, gdzież znowu natychmiast? Lada chwila ma nadejść pani Igielska, ażeby mi wziąć miarę na gorsecik.

Zygmus. Sprawa sprawie nie przeszkadza. Mogłabyś przecie przed jej przyjściem przerobić ze mną z parę łatwiejszych zadań.

Władzio. Czas by też już było na to, bo podobno jeszcze i twoje tłumaczenie francuskie nietknięte.

Jadzia. I to prawda, ale w tej chwili jestem tak roztargniona, tak zajęta myślą o tem balu! A będę tańczyła krakowiaka w drugiej parze ze Stasiem, wyborny z niego tancerz.

Władzio. Ale za to wcale nieszczególny uczeń. Zgadnam się na to, że będzie z was wcale dobrana para.

Jadzia. A więc bierzesz nam za złe, że szukamy rozrywki?

Władzio. Mylisz się trzpiotko! Rozrywka to rzecz dobra, ale naprzód trzeba zawsze załatwić się z obowiązkiem.

Jadzia. Przyjdzie czas i na to. Wyobraź sobie tylko, jak będę ślicznie wyglądała w ponsowym gorseciku i białej spódnicy, kiedy stanę naprzeciw Stasia i zaśpiwam bodaj tego krakowiaka, któregom się dzisiaj nauczyła od Anusi:

— Czerwone jabłuszko przepasane na krzyż,
Czego ty chłopczyño, krzywo na mnie patrzysz?

Władzio. Gdybym ja był na jego miejscu, odpowiedziałbym ci natychmiast.

Gdzie jest lichy zasiew, tam i marne żniwo,
Widzę żeś próżniaczka, a więc patrzę krzywo.

Zygmus. No, to może byłoby trochę niegrzecznie. Prawda Jadziu, że ty zanadto kochasz rodziców, a bodaj i mnie, twego brata, żebyś miała przez lekkomyślność zastąpić sobie na tak brzydki tytuł.

Jadzia. O! ty zawsze dla mnie jesteś tak dobry, Zygmysiu i możesz być pewny, że cię nie zawiodę. Ale ja tak lubię tańczyć. Pójdź, pokażę ci jak ja umiem doskonale wykręcać się w mazurze. (*Ciągnie go za rękę śpiewając.*)

Hop! hop! do mazura,
Skoczna we mnie jest natura,
Lecz choć niby jestem płocha,
Główka myśli, serce kocha.
Hop! hop!

Zygmus. A puszczajże mnie dzieciaku! Mnie tam nie w głowie takie figle.

Jadzia. A tak, tylko same takie wesołe rzeczy, ja gra-ma ty-ka, ma-te-na-ty-ka, i Bóg wie jakie tam jeszcze tyki, jedna suchsza i nudniejsza od drugiej.

Zygmus. O! jakżebym gorąco pragnął, ażebyś się raz poznała na ich prawdziwej wartości, wtedy bowiem nie wydawadyby ci się już tak nudnemi. O! mam nadzieję, że cię zdołam nareszcie przekonać, tylko wierz mi, że ta zabawa wypadła jakoś nie w porę.

Jadzia. Co ty mówisz! Alboż mogła przyjść bardziej w porę, jak teraz, kiedy jeszcze przez dwa tygodnie jesteśmy wolni od lekcji. Ale, ale, otóż ktoś dzwoni; pewnie to już pani Igielska. (*Oddała się śpiewając.*)

Żadna rada nic nie wskóra.
Hop! hop! do mazura.
Już mi w duszy tak wesoło.
Hejże naprzód! hejże w koło,
Hop! hop!

(d. n.)

DROBIAZGI.

Szlachetna duma. — Bohaterska logika.

W czasie wojny Rzymian z Samnitami, ci ostatni cięgle odnosili sromotne porażki; umyśliłi nakoniec przekupić zwycięskiego wodza Rzymian Kuryusza. Z worami pełnemi złota, stanęli posłowie samniccy przed Kuryuszem, którego zastali przy piecu, gotującego sobie zupę na obiad. Zadziwił ich ale i ucieszył na razie widok nędzy wielkiej, gdyż sądzili, że człowiek tak ubogi, chętnie przyjmie ich ofiarę i zgodzi się na zdradę za cenę złota. Zawiedli się jednak, Kuryusz przyjął ich grzecznie, częstował swym skromnym posiłkiem, ale złoto odrzucił, mówiąc: Wolę mieć pod rozkazami bogaczy, niż stać się jednym z nich, za cenę zdrady swego kraju.

Sokrates, cnotliwy i uczony mędrzec grecki, niesłusznie skazany został na śmierć; oczekiwał jednak spokojnie spełnienia wyroku, siedząc w więzieniu. Uczniowie jego nie mogąc się pogodzić z myślą wiecznego rozstania z ukochanym mistrzem, namawiali go do ucieczki.

— I owszem, ucieknę, jeżeli tak bardzo tego chcecie, ale wskażcie mi takie miejsce, gdzieby mnie śmierć nie osiągnęła.

Gdy znów jeden z uczniów płakał nad nim i narzekł mówiąc, że mistrz jego został niesprawiedliwie osądzony bo jest niewinny, odpowiedział mu z łagodną wymówką.

— Jaktó przyjacielu, wolałbyś, abym umierał winny!

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Jubileusz Arcypasterza (z ryc.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów (c. d.) — Pogadanki z astronomii, przez P. Trzczińskiego — Rycina do pow. Trzydzięści lat wśród dzikich. — Kościół św. Jana w Warszawie (ryc.) — Wzajemna pomyślność p. Teresę Jadwigę. — Przysłowie w obrazkach. — Drobiazgi. **Dodatek:** Kościółek wiejski (z ryc.) — Nieproszeni goście przez Maryę Weryho (z ryc.) — Cudowna roślina. — Ciotka Iza. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Trzydzięści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Waleczna Marrené.

WIECZORY RODZINNE



Kościółek wiejski.

Stoi kościół — to dom Boży.
Boga wielbić tu potrzeba;
Tu się człowiek przed Nim korzy,
Wznosząc modły swe do nieba.
I panowie i wieśniacy
Tu błagają Stwórcę świata,
By dał siły im do pracy,
Czerstwe zdrowie, długie lata.
I rodzice i ich dzieci
Bogu niosą dziękczynienia,
Za to słońce co im świeci,
Co świat cały opromienia.
Tu w świątyni, już u progu,
Czy to starzec, czy to dziecko,
Z pokorą dziękuje Bogu,
Że go stworzył, dał mu życie.
Tu przed Krzyżem Zbawiciela,
Ksiądz nauki jego prawi,
I lud codzien, co niedziela,
W imię Boga błogosławi.

NIEPROSZENI GOŚCIE.

J A S T R Z A B.

Wielkie spustoszenie wyrządzał jastrząb w okolicy, któż nie wyrzekał na niego, któż się nie żalił?

Płakała Marcinowa, że jej raz po raz kurczę porywa, martwił się zajac, bo mu jastrząb najmłodszego zajaczka uniósł. Kuropatwy truchlały na samą myśl o jastrzębiu, bo ich niemało wytrzebił. A co gołębi! co przepiórek i jarząbków pozjadał, któżby je zliczył!...

Dziwiły się ptaki, że ptak, podobny do nich z upierzenia, takie drapieżne ma zwyczaje. Gdy każde z nich ziarnem, czy robaczkami się zadowolni — on tylko mięsa pożąda.

Ale jastrząb nic sobie z owego gadania nie robił. Miał sposób na każde stworzenie. Posiadał wzrok doskonały, dziób i szpony potężne, dla tego prawie nigdy nie chybił.

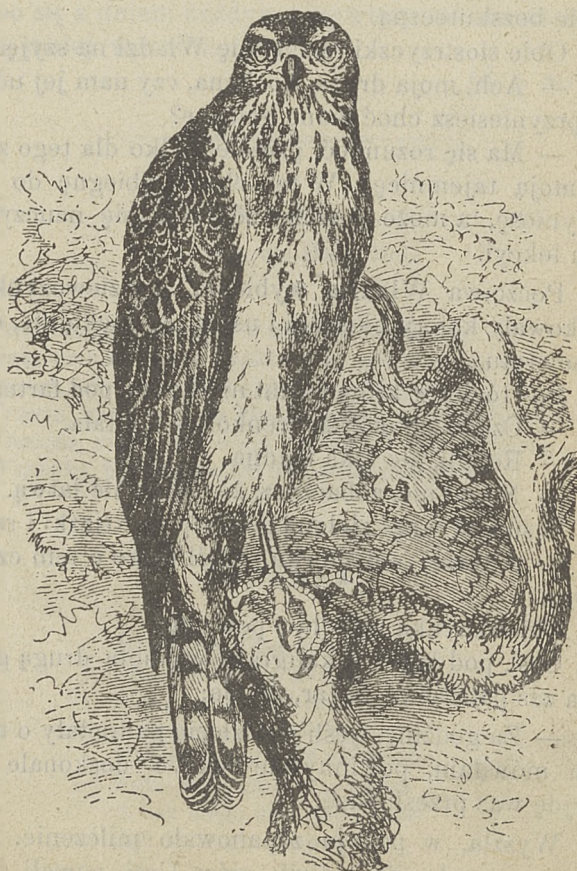
Wiedział, kiedy gołębie lecą na pole, ażeby grochem się pożywić i kiedy wracają; a że w locie nikt jastrzębiowi nie dorówna, więc miał zawsze gołębia na śniadanie.

Znał zwyczaje jarząbków, które mu były bardzo do godne, przylatywały one bowiem na brzozy, do lasu i objadały aromatyczne pączki, co je tak odurzało, że czas jakiś siedziały jak pijane na gałęziach.

Wtedy właśnie siadał jastrząb na wierzchołku drzewa, mocno poruszał skrzydłami i płoszył biedne ptaszki, które zrywały się nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje i wpadały wprost na swego nieprzyjaciela.

Wiedział również dobrze, że jedne ptaki mają mięso ciemne, twarde, jak np. wrony, sroki, kawki, tych nie ruszał wcale; inne znowu białe, dla tego polował tylko na delikatniejszą zwierzynę.

Przytem trzeba wiedzieć, że jastrząb przewyższa zmyślnością wszystkie ptaki, z czego też jest strasznie dumny.



Nie wiedział tylko jednej rzeczy, że znajdzie się ktoś jeszcze od niego mądrzejszy, — był to gajowy, młody i zręczny chłopiec.

Ten znów poznał dobrze zwyczaję jastrzębia, zły był, że mu tyle zwierzyny tępi, a szczególnie kuropatw i postanowił go upolować.

Trafić w jastrzębia strzałem jest niepodobieństwem, bo lata tak wysoko, że ledwie go można dojrzeć pod obłokami, więc gajowy wymyślił inny sposób. Schwycił sowę i oswoił ją. Później przyczepił jej łańcuszek do nogi, puszczał na pole, trzymał drugi koniec łańcuszka, ukrywając się za drzewem.

Jastrząb znał także zwyczaję sowy, wiedział, że i ona poluje również na kuropatwy i nie raz udało mu się wyrwać jej zdobycz, więc i tym razem zaczyna przyglądać się sowie, spuszcza się niżej, coraz niżej... a gajowy tymczasem lufę nastawia i pif... trafia jastrzębia i zabija go na miejscu.

Tak zakończył życie ten nieproszony gość.

Marya Weryho.

CUDOWNA ROŚLINKA.

(Dokończenie).

— A czy do pisania ta roślina także pomaga? — zapytała Cesia.

— Naturalnie, do wszystkiego. Przy pisaniu roślinkę wsuwa się pod kajet. Przedewszystkiem jednak pamiętać o tem należy, co już poprzednio mówiłam, aby myśleć tylko o lekcyi i cicho siedzieć, bo inaczej roślina będzie bezskuteczną.

Obie siostrzyczki rzuciły się Władzi na szyję.

— Ach, moja droga, kochana, czy nam jej udzielisz, czy przyniesiesz choć jedną gałązkę?

— Ma się rozumieć, przecież tylko dla tego zdradziłam moją tajemnicę. W tej chwili zbiegnę do ogrodu i przyniosę, a może jeszcze zdążycie się nauczyć zadanych lekcyi.

Pocziwa Władzia wybiegła, a dziewczynki uporządkowały kajety i książki i usiadłszy spokojnie, czekały jej powrotu.

Powróciła w kilka minut niosąc coś pod fartuszkami.

— Czego się uczysz, Irenko? — spytała.

— Religii, ale taka trudna.

— No, to nic, zobaczysz, że się stanie łatwą.

Wsunęła jakąś zieloną gałązkę do książki i rzekła:

— A teraz, ani słówka, myśl tylko o tem czego się uczysz.

Dziewczynka usiadła z powagą.

Cesi, pod kajet z kaligrafią wsunęła drugą gałązkę, sama zaś patrząc na zegar, rzekła:

— Za godzinę, jeśli będziecie pamiętały o tem, co wam mówiłam, powinniście lekcyę doskonale umieć, przyjdę was przesłuchać.

Wyszła, w pokoju zapanowało milczenie. Irenka z uwagą uczyła się religii, pióro Cesi powoli, z wielką

starannością przesuwano się po papierze! Skutki roślinki były aż nadto widoczne, bo kiedy w godzinę Władzia powróciła, przesłuchała lekcyę i obejrzała kaligrafię, zdumiała się, że tak wszystko doskonale było nauczone i napisane.

— Widzicie, że roślina bywa pomocną, nieprawdaż?

— Ach, ogromnie — zawołała Irenka — ja zaraz uczułam większe zdolności.

— A mnie cierpliwości przybyło widocznie — dorzuciła Cesia.

I po raz drugi rzuciły się na szyję Władzi, powtarzając:

— Ach, naprawdę, ty jesteś najlepszą przyjaciółką, teraz mając taką roślinkę, możemy być spokojne, że nauczycielka i mama gniewać się na nas nie będą, bo lekcyi łatwo nauczyć się będziemy mogli.

Władzia ucałowała obie dziewczynki.

— Pamiętajcie tylko postępować tak dalej, a z pewnością nie będziecie narzekały na brak zdolności i pamięci, tylko... i nachyliwszy się, szepnęła: — Tylko pamiętajcie, że to tajemnica.

Dziewczynki dotrzymały słowa.

Codziennie, we dwie godziny najwyżej, odrabiały zadane lekcyę, pisały wszystko starannie, a nauczycielka i mama wydziwić się nie mogły, co tak wpłynęło na ich poprawę.

Dopiero, w kilka tygodni, podczas których obie siostrzyczki odbierały same pochwały za dobrą naukę, pilność i cierpliwość i oceniły jak to przyjemnie być pociechą dla rodziców i nauczycieli, przyszła raz u pewnego Władzia, a dowiedziawszy się, że właśnie dnia tego obie dziewczynki dostały piątki za pilność, spytała:

— A cóż roślina, czy macie ją jeszcze w waszych książkach?

— A jakże mamy i za nic byśmy jej nie wyjęły, ona przecież sprawiła, że dziś jesteśmy tak szczęśliwe!

Władzia zaśmiała się głośno.

— Czy naprawdę roślina jest tego przyczyną, i czy przyjrzałyście jej się kiedy zbliska?

Pokazało się, że dziewczynki obawiając się utracić wpływ dobroczynny, nie oglądały nawet jak wygląda, dopiero Władzia wydobywszy ją z książki, kazała się jej przypatrzeć.

— Trochę podobna do zwyczajnego jaskra — rzekła Irenka.

— Bo też to rzeczywiście najpospolitszy jaskier.

— Jakto, i on ma taką cudowną własność? — zawołała Cesia — i nikt o tem nie wie?

— Ależ moje drogie — ze śmiechem zawołała Władzia — jaskier nie posiada żadnej cudownej własności, a tylko pilność i cierpliwość zrobiły, że dziś stałyście się dobrimi uczennicami i pociechą mamy waszej i nauczycielki. Ja wtedy żartowałam z was tylko. Wiedząc jak byłyście leniwe, aż nadto byłam przekonana, że rady moje na nic się nie przydadzą, musiałam się więc uciec do podstępów, a że mój pomysł wydał pożądaną owoce, należy nam się tylko z tego cieszyć!

Ireni i Cesi niemiło się trochę zrobiło, że Władzia z nich zażartowała, lecz wdzięczność wzięła wkrótce górę nad chwilowem niezadowoleniem i całując pocziwą

przyjaciółkę, dziękowały jej za dobry pomysł. Przekonały się, że nie roślinka cuda działa, lecz dobre chęci, wola własna i cierpliwość.

J. P.

Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

I to jutro nadeszło, ale nie takie, jakiego spodziewały się Kazia i Marychna. Najpierw, dzień był dżdżysty, pochmurny, deszczyk kropił od czasu do czasu, więc dzieci siedziały w domu, ani mowy nie mogło być nawet o wyprowadzeniu ich do ogrodu; na ganku ksiądz proboszcz, doktor Zaliński i ciotka Iza rozmawiali półgłosem.

— Więc nie można jej było już uratować? — zapytała smutnie ta ostatnia.

— Nie, pani — odrzekł doktor — robiliśmy wszystko co tylko było można.

— I cóż dalej?

— Jutro pochowamy zmarłą na naszym cmentarzu.

— A z dzieckiem co się stanie, kto się niem zajmie?

— Ja zatrzymam ją u siebie, póki się po nią kto nie zgłosi — rzekła ciotka — nie mam rodziny, ani żadnych obowiązków, chętnie z sierotą podzielę mój chleb powszedni.

— Czy przy zmarłej nie było żadnych papierów, z których dowiedziećby się można o miejscu zamieszkania i nazwisku? — zapytał jeszcze doktor.

— Nie, nic prócz kilkudziesięciu rubli!

— A woźnica, czy żadnych objaśnień dać nie może?

— Woźnicę znaleziono na drodze o wiorstę od miasta bezprzytomnego, z ciężko pokaleczoną głową. Odwieszono go do szpitala, lecz dotąd badać go jeszcze nie było można!

Wszyscy się zasępiłi.

— W każdym razie ogłoszenie do gazet podać musimy, a tymczasem pani zaznajomiwszy się z dzieckiem, może cokolwiek zdoła się dowiedzieć. Przez wzgląd na sierotę trzeba poszukiwać jej rodzinę.

I tak jak uradzili, doktor z proboszczem zajęli się sprawą dziewczynki, a ciotka tymczasem oswajała pomaleńku płaczącą sierotę. Przyniosła jej kotka, którego zrazu głaskała z obawą, a z którym się później zaprzyjaźniła, klatkę z kanarkiem, kurczątką, które karmiła ziarnem, a gdy Marychna i Kazia obdarzyły ją jeszcze lalką z zamykającymi się oczami, dziecko rozbawiło się na dobre. Kazia z Marychną ręce z zachwyty składały, bo dziewczynka była rzeczywiście prześliczną. Białe ubrania, z jasnymi, zwijającymi się w loki włoskami, z figlarnymi, szafirowymi oczkami, wyglądała jak aniołek. Wesoła, nie znająca całej grozy swego nieszczęścia, biegała wśród tego małego gospodarstwa.

— A to co? — pytała pieszczotliwie, pokazując starego Wiernusia, i dotykając jego kudłaty uszów delikatnie paluszkami — to piesek, tak? A to kotek? Nina

także umie być kotkiem, miauu, miauu — naśladowała. — Nina koteczka zabierze do mamusi, prawda?

— Prawda, kochanko, ale czy tobie Nina na imię?

— Nie Nina! A jak? Zosia? Nie Zosia. A to może Mania? — Nie! — A jak, to może kotek? — Tak, kotek, Nina kotek, miauu, miauu. Obcierała swą jasną główkę o kolana Marychny, udając kota, wiesz, Nina nazywa się kotek. A gdzie kotek mieszka? A nie mieszka.

Dziewczynki uszczęśliwione, że dowiedziały się przynajmniej imienia maleńkiej, biegły zaraz do ciotki z tą nowiną, a ta obejmując tkliwym spojrzeniem drepczące maleństwo, powtarzające także „ciotko,” brała je w ramiona, przyciskała do siebie i mówiła:

— A czy dziecko kochać będzie, tę brzydką starą ciotkę?

Kilka tygodni upłynęło od powyżej opisanego zdarzenia. Matkę Niny pochowano na cmentarzu parafialnym, opisano w gazetach wypadek z najdrobniejszymi szczegółami; ale po Ninę nikt się nie zgłaszał. Woźnica, którego leczono w szpitalu, także nic objaśnić nie mógł, mówił tylko, że konie były pocztowe z miasta S., że pani ta przyjechała koleją, i że ją znów odwieźć miał do najbliższej stacji kolei idącej do Prus, że konie przestraszyły się na drodze kosiarzy, których kosy błyszczały od zachodzącego słońca, i że później, gdy spadł z kozła, nic sobie już przypomnieć nie mógł, co stało się z dzieckiem i panią. Zeznanie to w niczem nie rozjaśniło położenia. Czekano więc z dnia na dzień a ksiądz proboszcz zaglądał coraz częściej do przytuliska, gładził główkę sieroty i powtarzał:

— No, cóż ciotko Izo, jakoś się nikt po dziecko nie zgłasza?

— A nie — odpowiadała ciotka, ale jakoś coraz weselej, bo się z dniem każdym przywiązywała coraz więcej do swej małej wychowanki.

(d. c. n.)

S Z A R A D A .

p. Laszkę dla Halki Hof.

Pierwsza, piąta pojęta w ważnym znaczeniu
Służy nam za punkt wyjścia przy latach liczeniu,
Druga, odwrotna, litera w alfabecie rzędzie,
Trzecia, znów znanym bardzo wykrzyknikiem będzie,
Czwarta, piąta, jest wielu zwierzątek schronieniem,
Wszystko, będzie znanem kobiecem imieniem.

Z A G A D K A .

Bez kólek i bez sprężyny,
Jasne wskazują godziny.
A choć się wcale nie siłę,
Jednej minutki nie zmyłę.
Nakrecać mnie też nie trzeba,
Póki służy kluczyk z nieba.
A bez niego nikt mię z ludzi
Już do biegu nie pobudzi.

ARYTMOGRYF.

Sir Reginald Elphinstone.

- 1) 9, 13, 28, 16, 13. Drzewo południowe, jednoliścienne.
- 2) 15, 7, 4, 18, 1. Imię męskie.
- 3) 7, 17, 18, 10, 10, 13. Miasto n. m. Czarnem.
- 4) 6, 13, 8, 7, 2. Góra w Galilei.
- 5) 2, 12, 8, 26, 19. Kamień kosztowny.
- 6) 10, 7, 10, 19, 13. Drzewo iglaste.
- 7) 24, 2, 14, 16. Półwysep w Rosyi.
- 8) 13, 28, 10, 18, 19. Wyspa na m. Bałtyckiem.
- 9) 2, 4, 14, 16. Miasto we Włoszech.
- 10) 21, 26, 8, 2, 13, 28, 6, 13, 2. Cieśnina w Europie.
- 11) 13, 2, 25, 22, 26, 16, 18, 17, 18, 10. Matematyk w sta-
[rożytności.

Początkowe litery ułożonych wyrazów, utworzyć mają imię i nazwisko znakomitego mówcy z XVI w.

ZADANIE KONIKOWE.

Żywila dla Raków z Siedlisk.

	nie	nów	
plo	mo	rze	sie
o	je	Kto	zbie
nie	ten	że	a
	ni	rać	

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 32-go.

Szarady: Pa — ra — sol.

Wiersze przerobione z prozy.

Zamek na barkach nowogrodzkiej góry
 Od miesięcznego brał pozłotę blasku,
 Po wałach z darni i po sinym piasku
 Olbrzymim słupem łamał się cień bury.
 Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni,
 Dyszała woda z pod zielonych plesni.

A. Mickiewicz.

Arytmogryfu:

- 1) Tacyt. 2) Ewa. 3) Rymiec. 4) Eisenach. 5) Słowo. 6) Arpad. 7) Jerycho. 8) Aurillac. 9) Długosz. 10) Wyższe. 11) Irkuck. 12) Golkonda. 13) Abel. 14) Spahi.

Teresa Jadwiga Stacho — Doczekali.

Skrzynka do listów.



Spytek z Mel. obawia się znudzić nas swoją korespondencją, zapewniamy go przeto, że chętnie zawsze odbieramy listy od naszych młodych czytelników, świadczące o ich życzliwości i dobrej woli utrzymywania z nami przyjaznych stosunków. W nowym roku szkolnym życzymy powodzenia.

Lubisz **Amelko W.** pomarańcze i radabyś wiedzieć, skąd największa ich ilość wysyłana bywa. Drzewa wydające ten owoc, pochodzą pierwotnie z Azji południowej i północnej Afryki, obecnie hodowane są we wszystkich częściach świata. Najobficiej jednak pomarańczami zaopatruje nas Algerya. W pobliżu miasta Blidah znajdują się tak ogromne przestrzenie zasadzone drzewami pomarańczowemi, że dostarczają one do 50 milionów sztuk owoców rocznie. Zbierane w końcu października, rozkładane są na matach palmowych, następnie rozgatunkowywane stosownie do wielkości, obwijane w papier i układane w skrzyniach, pomarańcze wysyłane stąd bywają na wszystkie strony dla amatorów, mających podobne jak ty, w soczystych owocach upodobanie.

Żałujemy bardzo, że życzeniu pani **Zofii Zwo.** nie możemy zadość uczynić, żadanego bowiem adresu zupełnie nie znamy.

Żywiłi jako najlepsze podręczniki polecamy do wyboru: Bartoszewicza, Kuliczkowskiego, Spasowicza, Tarnowskiego, Chmielowskiego, jako podręcznik literatury francuskiej, treściwy kurs średni i wyższy Lebaigue'a.

Cieszymy się, że **Raczk** z Siedlisk Wieczory czytują zawsze z upodobaniem. Jaskółka wkrótce już powróci i oczekiwać będzie obiecanego długiego listu, tymczasem kochanym **Raczkom** przesyłamy serdeczne pozdrowienia. Wypracowania dołączyliśmy do innych otrzymanych już prac.

Helence i **Guciowi M.** za zebrane z groszowych oszczędności kop. 50 na Kolonie Letnie, dziękujemy w imieniu obdarowanych dzieci. Nie wątpimy, że myśl, iż oszczędności tych użyli nie na własną przyjemność, ale na niesienie ulgi ubogim rówieśnikom swoim, będzie im najlepszą za dobry uczynek nagrodą.

Szarady i zadania własnego układu nadesłali: **Zdzisław R.**, **Żywila**, **Staś H.**, **Smok** i **Helenska Z.**

RYGA.

Elisabethstr N - r. 55.

ZAKŁAD NAUKOWY Z PENSYONATEM
ANNY JASTRZĘBSKIEJ.

Przygotowywa uczennice do egzaminu na dyplomy nauczycielskie. Egzamina dla nowo wstępujących uczennic odbywać się będą 16 (28) i 17 (29) sierpnia. Lekcje rozpoczną się 18 (30) sierpnia. Do pierwszego oddziału klasy wstępnej przyjmują się uczennice, nie umiejące czytać.

MAGAZYN DZIECIĘCY
JANINY

w Warszawie Marszałkowska Nr. 151.

Poleca w wielkim wyborze dla dzieci: Sukienki, Palta, Garnitury, Żakiety, Garnitury do Chrztu, Koszule, Kalesony, Skarpetki, Pończoszki, Fartuszki, Kołnierzyki, Mankiety, Czapki i Kapelusze, słowem wszelkie ubrania dziecięce.

Obstalunki przyjmuje ze swoich i powierzonych materiałów. Towar wyborowy, wykończenie akuratne.